

*Stanisław Filipowicz*

## **Nauka i reformatorzy. Kilka uwag na temat przeprowadzonych w Polsce reform**

**SŁOWA KLUCZOWE:**

*reforma, biurokracja, władza, racjonalność, konflikt*

Dokonało się dzieło reformy. Pewnie jeszcze nie w pełni, ale o rezultatach reformowania polskiej nauki i polskich uczelni wiemy już sporo. Reforma miała charakter dość szczególny, przedstawiono ją jako sukces już w punkcie wyjścia. Towarzyszyły jej fanfary obwieszczające świt nowej ery. Intensywność propagandowych hymnów była olbrzymia. Autorzy reform działali z rozmachem, stworzyli wizję wielkiej przemiany, wielkiego skoku. Perspektywę odnowy, która pozwoli polskiej nauce wyrwać się z pułapki podrzędności i wkroczyć w triumfalnym pochodzie na wielką scenę świata.

Co z tego wyszło? Zdania są podzielone. Podział ten rysuje się w sposób dość charakterystyczny. Zadowoleni są autorzy reform, przedstawiciele świata polityki, mniej zadowoleni, a czasem nawet bardzo niezadowoleni, jej adresaci – przedstawiciele świata nauki.

Narzekania nie przyniosą oczywiście żadnego pożytku. Spróbujmy raczej zrozumieć mechanizm iluzji, przyjmując, iż mamy szansę ją przezwyciężyć. Jeśli poszliśmy w złym kierunku, spróbujmy sobie wyjaśnić jak do tego doszło. Zaczynamy już przecież coraz częściej mówić o reformie reformy. O błędach, które popełniono. Warto zatem zastanowić się nad tym jaki charakter miały najogólniejsze założenia projektu radykalnej przemiany, przyjmując, iż ewentualna korekta oznaczać musi ich rewizję. Sprawa jest zbyt poważna, by skupiać uwagę na szczegółach. Znaczenie

podstawowe ma dotarcie do sedna rzeczy. Zdemaskowanie iluzji, która triumfowała w postaci zaborczej narracji, przedstawiającej reformy jako punkt zwrotny w dziejach polskiej nauki i polskich uczelni. Posługuję się tu słowem „narracja” nie bez powodu. Mam na myśli wielką propagandową opowieść, która zajęła eksponowane miejsce w publicznym dyskursie i sprzyjać miała ugruntowaniu twardego stanowiska autorów reform. Wysokonakładowa prasa („Gazeta Wyborcza”, „Polityka”), media środowiskowe („Forum akademickie”, „Pauza”) poświęciły reformie niewiele miejsca. Pojawiło się sporo głosów krytyki. Czasami była to krytyka bardzo celna i daleko idąca. Ostatecznie jednak, jak wiemy, nieskuteczna. Stanowisko autorytetów było niezachwiane. Świat nauki musi dojrzeć, musi pojąć na czym polegają wielkie dobrodziejstwa reform, wyzbywając się balastu złych przyzwyczajzeń i nawyków błędnego myślenia.

Celem prezentowanej tu wypowiedzi nie jest opis polemik. Wszystko zostanie przedstawione w terminach najogólniejszych, bez konkretnych przykładów. Przykłady można znaleźć bez trudu, studiując powszechnie dostępne materiały. Cel jest nieco inny – chodzi przede wszystkim o rozszyfrowanie najgłębiej zakodowanego przesłania, które określiło charakter przeprowadzonych reform. Zmierzając w tym kierunku czynię wszakże pewien wyjątek, odwołując się do wypowiedzi byłej minister Barbary Kudryckiej, która była oczywiście wielką protagonistką, czuwającą nad powodzeniem całego przedsięwzięcia. W jednej z dość ostrych polemik z przedstawicielem środowiska rozczarowanych i krytycznych obserwatorów (nazwisko pominę, gdyż mimo wszystko chcę konsekwentnie trzymać się przyjętej konwencji, patrząc na wszystko w kategoriach uogólnień) pani minister zaznaczyła, iż Polska ma za sobą wiele trudnych reform. Ich trud musieli ponieść górnicy i hutnicy, nie ma powodów, by oszczędzić go światu uczonych. Nic dodać, nic ująć. W symbolicznych skrótach (ale też dosłownie) została zaprezentowana fundamentalna logika całego projektu. Musicie stać się inni. Góra nie może przecież przyjść do Mahometa.

Proponowana tu wypowiedź będzie dość krótka. Nie chcę się rozwodzić. Spróbuję skupić uwagę na kilku kwestiach, które w moim przekonaniu mają charakter absolutnie zasadniczy. Zadając takie oto fundamentalne pytanie – co w istocie było czynnikiem legitymizującym tak bardzo radykalny sposób myślenia, oznaczający dążenie do zerwania ciągłości historycznej? Do gruntownej przebudowy instytucji i przemiany obyczaju. Co w istocie stało się zachętą do brawury, która logikę projektu podporządkowała w niemałej mierze logice utopijnego triumfalizmu? Czy rzeczywiście polskie uniwersytety i polskie instytucje naukowe przypomi-

nały nierentowne huty i kopalnie? Jak wyglądały przesłanki takiego właśnie sposobu myślenia, wytwarzającego iluzję łatwego sukcesu. Zwróć uwagę na kilka kwestii mając na względzie potrzebę namysłu, który pomagałby nam – przedstawicielom środowiska naukowego – w zdemaskowaniu iluzji. Zamyśl ten należy traktować jako próbę ukształtowania pewnej koncepcji rozumienia, pozwalającej przedstawić elementarny sens doświadczeń związanych z podjętymi reformami.

**Po pierwsze** – należy zdać sobie sprawę z faktu, iż sama koncepcja reform jest wyrazem nastawienia odzwierciedlającego powszechnie dziś uznawane formuły racjonalności. Stała się ich ekspozycją, czerpała z nich swoje natchnienie. Jednocześnie to właśnie nastawienie, które ukształtowało niejako ostrze całej reformy, zarysowało jej ostrą krawędź, przesądziło zarazem o jej ograniczeniach i ostatecznie o niezbyt wielkiej (jeśli uwzględnimy skalę związanych z nią ambicji i oczekiwań) skuteczności. Mamy tu oczywiście na myśli cały kompleks zagadnień związanych z pojęciem rozumu i *n s t r u m e n t a l n e g o* i racjonalności technicznej. Instrumentalizacja myślenia, mówiąc w największym uproszczeniu, oznacza powiązanie wszelkich rygorów racjonalności z relacją cel – środek. Racjonalne nastawienie, racjonalne działanie polegać ma na stosownym doborze środków, na poszukiwaniu odpowiednich narzędzi. „Abstrakcyjne funkcjonowanie mechanizmu myślowego”, oto najkrótsza chyba definicja rozumu instrumentalnego, którą proponuje Max Horkheimer<sup>1</sup>.

Rozum instrumentalny jest rozumem „sformalizowanym”, jak przekonuje Horkheimer. Brak ogólniejszego kontekstu, brak punktów odniesienia wychodzących poza relację cel-środek, sprawia, iż stopniowo dokonuje się wyjałowienie sfery myślenia. „Wszystkie podstawowe pojęcia – pisze niemiecki filozof – pozbawione treści, stały się – niczym opróżnione łupiny – pustymi formami”<sup>2</sup>. Daje o sobie w ten sposób znać pewna tendencja historyczna, której nie możemy oczywiście tu zgłębiać. Kwestia ma wszakże ogromne znaczenie. W cywilizacji zdominowanej przez wpływ techniki kryteria racjonalności instrumentalnej nabierają decydującej wagi.

Zastanówmy się teraz krótko nad konsekwencjami tego stanu rzeczy, próbując powiązać całe zagadnienie z podejmowanym tu tematem. Prowadzenie rozumu instrumentalnego oznacza po pierwsze, iż nie zadajemy sobie żadnych ważnych pytań dotyczących celów. Tracimy tę umiejętność. Formalizacja rozumu oznacza jego daleko posuniętą pauperyzację

<sup>1</sup> M. Horkheimer, *Krytyka instrumentalnego rozumu*, Warszawa 2007, s. 37.

<sup>2</sup> Tamże, s. 40.

i związaną z nią bezradność. Nie ma miejsca na głębszy namysł, który pozwoliłby odsłonić wieloznaczny sens podejmowanych przez ludzi działań. Wszystko podporządkowane jest jednotorowym zabiegom związanym z realizacją celu. Racjonalność, wąsko rozumiana techniczna racjonalność, powiązana z pojęciem skuteczności, staje się ważniejsza niż wszelkie pytania zasadnicze dotyczące zasadności i wagi samych celów.

Cele naszych reform były oczywiste – po części wiązały się one z typowymi dla racjonalności instrumentalnej priorytetami, po części wywodziły się z katalogu wartości, który ukształtowała dogmatycznie rozumiana doktryna wolnego rynku. A więc efektywność, produktywność, konkurencja. Zwiększenie efektywności i produktywności praktyk związanych z tworzeniem i przekazywaniem wiedzy. Tak to można ująć najkrócej. Ostrze całej reformy określiło pojęcie *produktu*. Co uczynić, by powstawało jak najwięcej „produktów” jak najwyższej jakości? Oto pytanie, które określiło sens podejmowanych działań. Miernikiem jakości są oczywiście werdykty rynku – najlepsze jest to, co się najlepiej sprzedaje. Najważniejsza jest, pójdźmy dalej, zdolność konkurowania na rynku międzynarodowym, stąd taki nacisk na umiędzynarodowienie nauki. W ostatecznym rachunku liczy się wielkość sprzedaży (indeks cytowań!). Oto miara sukcesów. Innej nie ma.

Taki sposób myślenia jest oczywiście nieszczęściem i z tym nieszczęściem musimy teraz się zmagać. Obiekcje, które można przeciwstawić aksjomatom reformatorów są dość oczywiste. Ograniczmy się do dwóch najważniejszych. Wiedza nie jest oczywiście produktem. Zabiegi związane z tworzeniem wiedzy nie mają charakteru wytwarzania. Wszystko można oczywiście skomercjalizować, ale to już inna kwestia. W punkcie wyjścia rzecz wygląda jednak inaczej. Wszystko jest o wiele bardziej skomplikowane, wieloznaczne i zagadkowe. Nauka nie jest rzemiosłem i definiowanie jej powołania w kategoriach wydajności podporządkowanej kryteriom konkurencyjności jest niebezpiecznym nieporozumieniem. Obiekcja druga – wielkość sprzedaży nie może być oczywiście rozstrzygającym miernikiem wartości. Lichy towar sprzedaje się na ogół łatwiej niż rarytasy. Czy rzeczywiście jesteśmy gotowi uczynić uogólnionym symbolem sukcesu znak „Biedronki”?

Z ekspansją racjonalności instrumentalnej wiąże się jeszcze jedna, bardzo ważna kwestia – kult wymierności i policzalności. Wszystko musi zostać zmierzone i policzone, wszystko musi zostać sparametryzowane. Nasze koncepcje efektywnego działania powinny uwzględniać reguły pozwalające mówić o wymierności efektów. Zaczynamy więc liczyć. Do sfery praktyk naukowych wkraczają nowe standardy wiarygodności. Ogól-

nikowe opinie i spekulacje zastąpić ma scjentometria (w wersji łagodniejszej, jako minimum, bibliometria). Wszelkie oceny powinny mieć charakter parametryczny. Wszystko powinno być zgodne z regułami racjonalności technicznej. Groteskowym wytworem stechnicyzowanych formuł myślenia stały się też programy nauczania – będące przedmiotem powszechnej kpiny sylabusy. Przypominają one niestety – jeśli zastanowimy się nad sednem rzeczy – instrukcję sznurowania butów i są olśniewającym przykładem triumfu formy nad treścią. Czy rzeczywiście butów nie możemy sznurować bez instrukcji? Czy wszystko musi zostać wtłoczone w schemat pozwalający mówić o efektach kształcenia? Tak jakby rzeczywiście efekty kształcenia zależęć mogły od kilku sztywno przyjętych, i zwerbalizowanych w kanonie nowomowy, założeń.

Myślenia (także nauki myślenia) – zaznaczmy kończąc ten fragment wywodów – nie można sprowadzać do schematów. Myślenie powinno oznaczać poszukiwanie nowych dróg i burzenie schematów. Rygory racjonalności technicznej pozwalają, w wielu dziedzinach, osiągać znakomite rezultaty. Nie mogą one wszakże stać się ostatecznym miernikiem sensu ludzkiego działania i praktyk związanych z tworzeniem wiedzy. Theodor Adorno – wybitny przedstawiciel szkoły frankfurckiej – pisał o „zbiorowej głupocie techników badań”, ostrzegając przed pułapkami uproszczeń związanych z kultem racjonalności instrumentalnej. Jednym z przebrań tej szczególnej odmiany ludzkiej głupoty – nie zapominajmy – jest beźmyślny kult innowacji, mający rzekomo sprzyjać postępom wiedzy. Próba zaszczepienia zbiorowej manii odkrywcości jest dziś w istocie jednym z kryptonimów komercjalizacji. Nauka powinna epatować, zadziwiać filuterną pomysłowością. Błyszczec na targowisku. Czy rzetelne trudy myślenia związane mają być rzeczywiście z potrzebą epatowania? Czy nauka musi koniecznie odnaleźć się w świecie, który na swych ołtarzach umieścił celebrytów? Jest to oczywiście zgodne z regułami komercjalizacji, z regułami efektywności mierzonej wielkością sprzedaży, ale czy o to rzeczywiście nam chodzi? „Filozof, jako pisarz, który chce zarabiać na utrzymanie – pisze Adorno – musi w każdej chwili występować z czymś szczególnie wyrafinowanym i fikuśnym, musi monopolem wyjątkowości bronić się przed monopolem instytucji”<sup>3</sup>. Czy waga myślenia związana jest rzeczywiście z tym, że staje się ono „fikuśne”? Idea komercjalizacji obarczona jest, podkreślmy to jeszcze, pewną dość szkaradną sprzecznością – jest to „sprzeczność między wzniosłymi tematami a filisterską

<sup>3</sup> T. Adorno, *Minima moralia. Refleksje z poharatanego życia*, Kraków 2009, s. 78–79.

oprawą”<sup>4</sup>. Zastanawiając się nad indeksami cytowań, nad sparametryzowanymi miernikami sukcesu, pomyślmy o tym czasami.

**Po drugie** – ekspansja racjonalności instrumentalnej stworzyła pole „wojny kulturowej”. Pojęciem wojny kulturowej będę tu posługiwał się w najogólniejszym rozumieniu, uwzględniając zasadnicze przesłanie klasycznej pracy poświęconej problematyce *culture wars*, jaką jest rozprawa Jamesa Davisona Huntera – *Culture Wars. The Struggle to Define America*<sup>5</sup>. Określenie to wprowadzamy nie po to, by posłużyć się modnym terminem i wywołać wokół niego pewien zamęt, a więc ostatecznie, dla efektu. Określenie Huntera ma swoją wagę i swoją nośność, pozwala dostrzec pewien bardzo ważny problem, wyzbyć się pewnych złudzeń. Znaczenie istotne ma podtytuł pracy Huntera – „walka o definiowanie”. Otóż jest to niezmiernie dramatyczna walka związana z pytaniem o to, kto ma prawo określać wartości, kto może definiować cele decydujące o tym, w jaki sposób będzie toczyło się nasze życie. „Wojny kulturowe” dotyczą więc w istocie fundamentalnych kwestii związanych z problemem tożsamości. Przyjmując punkt widzenia Huntera – i to jest właśnie najważniejsze – musimy zdać sobie sprawę z faktu, iż kultura, którą traktowaliśmy jako kulturę *k o n s e n s u*, żywiąc oświeceniowe iluzje dotyczące racjonalności, jest w istocie kulturą *k o n f l i k t u*. Nie ma w istocie żadnych obiektywnych mierników racjonalności, żadnego piedestału, na który wznieść się mogą „racjonalne” opinie. Myślenie jest polem walki, w której ścierają się rywalizujące tradycje, rywalizujące interesy i odrębne punkty widzenia. Kto więc może i powinien definiować wartości? Żadnej koncepcji tożsamości, wiemy to dzisiaj świetnie, nie możemy traktować jako prawdy objawionej. Dotyczy to w jak największe mierze także świata nauki.

Podając tę kwestię pamiętajmy, iż reformy, o których tu mówimy, były zamysłem niesłychanie radykalnym, mającym na celu daleko posuniętą rekonstrukcję świata nauki, oznaczającą odrzucenie przeszłości. Zmianę fundamentalnych kodów tożsamości, która sprawiłaby, iż pojawi się *homo novus* – uczoney obdarzony wszystkimi pożądanymi cechami sprzyjającymi osiągnięciu celów związanych z ideałami efektywności. Idealny producent i sprzedawca, który potrafi zachwycać swoją pomysłowością i radzi sobie znakomicie z wymogami komercjalizacji, rywalizując z powodzeniem na rynku wiedzy. Był to pewien zamysł, pewien projekt. Nie pojawił się on oczywiście w próżni, ma swoje ideologiczne zaplecze,

---

<sup>4</sup> Tamże, s. 78.

<sup>5</sup> J.D. Hunter, *Culture Wars. The Struggle to Define America*, Basic Books. A Member of the Perseus Books Group, 1991.

czym zajmiemy się trochę dalej, w punkcie trzecim. Teraz powróćmy do kwestii konfliktu wartości, który sprawił, iż staliśmy się uczestnikami „wojny kulturowej”. Nowa koncepcja świata nauki musiała oczywiście zderzyć się – i tak było w istocie – z tradycją, która ukształtował się w kręgu zupełnie innych wzorców i decydowała przez czas bardzo długi o tożsamości świata nauki, o sposobie działania uniwersytetów. Jest to mówiąc najogólniej tradycja uniwersytetu Humboldta, eksponująca pojęcie *Bildung*<sup>6</sup>. Przez długi czas przyjmowaliśmy, iż przekazywanie i zdobywanie wiedzy służy formowaniu ludzkich umysłów i charakterów, kształtowaniu pewnego typu kultury, pozwalającej widzieć wartości jako miernik sensu życia, a nie pozycje na liście sprzedaży. Pamiętajmy, iż uniwersytet Humboldta wyrasta w kręgu fascynacji związanych z kulturą klasyczną, z tradycją antyczną. Na jego murach widzimy wyraźnie cień Sokratesa – wiedza związana jest z dobrem, ma swoją wartość bezwzględna, która nie podlega żadnej instrumentalizacji, której nie można skomercjalizować. Wiedza decyduje wprost o tym kim jesteśmy, kim stajemy się. Tak sens ma ostatecznie ideał kształcenia związany z pojęciem *Bildung*. I o to nagle obwieszczono nam, otwierając nową Księgę Objawienia, iż uniwersytet jest miejscem, gdzie pojawiają się p r o d u k t y e d u k a c y j n e, że staliśmy się sprzedawcami, którzy będą musieli troszczyć się, przede wszystkim, o wyniki sprzedaży. Produkt, to produkt. Ktoś, kto ma magazyny pełne niesprzedanego towaru staje się bankrutem. A więc do dzieła. Świątynie wiedzy musimy zmienić w prosperujące przedsiębiorstwa handlowe. I pamiętajmy, wykorzystujemy publiczne środki. Podatnik ma więc prawo zaglądać do naszych magazynów i kręcić nosem, czy aby nie ma tam staroci, których nikt nie zechce kupić.

Wybuchła więc wojna. Pamiętajmy, ta wojna toczy się w naszych umysłach, jej głównym frontem jest język, pewien system pojęć. Sokratejskiej tradycji – ujmijmy rzecz w symbolicznym skrócie – przeciwstawiono język szkół zarządzania. Jest on dzisiaj bardzo modny, wtargnął do wszystkich sfer naszego doświadczenia, do wszystkich dziedzin wiedzy. Stał się swoistym meta-językiem, przyjmującym postać wtajemniczenia w sekrety najwyższej prawdy i racjonalności. „Zarządzamy” dziś emocjami, parametryzujemy efekty naszej działalności, nerwowo zerkamy w stronę tabel ukazujących wielkość sprzedaży (wskaźniki cytowań), niecierpliwie czekamy na wyniki „ewaluacji”, która pozwoli nam lepiej „stargetować” nasze zamiary.

<sup>6</sup> Na ten temat: I. Zakowicz, *Idea uniwersytetu Wilhelma von Humboldta – kontynuacja czy zmierzch?*, «Ogrody Nauk i Sztuk» 2002, nr 2, s. 62–74.

Pamiętajmy też o jeszcze jednym – wojny kulturowe są wojnami w świecie symboli. Przeciwnika należy więc oczywiście pozbawiać symbolicznego kapitału. Należy go spauperyzować, przedstawić jako pariasa. Nikt więc, rzecz jasna, nie będzie mówił o Humboldcie i Sokratesie. Entuzjaści reform linię frontu skonstruowali w całkiem inny sposób – po jednej stronie są modernizatorzy, postępowcy, zwolennicy światowych trendów i brukselskich programów, walczący o ideały „ekselencji” naukowej, (dziś na szczęście zaczyna się już mówić po prostu o „doskonałości”), po drugiej maruderzy, niskowydajni rękodzielnicy nierozumiejący wymagań przemysłu sukcesu, lub o zgrozo epigoni realsocjalizmu, wszyscy stracący walczący na zgliszczach swoich skansenów, które i tak w pył rozniosą wichry historii. Piękna perspektywa, wzruszający obraz.

Zaznaczmy jeszcze, iż ten obraz ma głębszy sens. Jest on przecież odzwierciedleniem nadziei związanych z ideałami transformacji. Dążenie do odrzucenia przeszłości zrodziło pragnienie oczyszczenia. W skrajnej postaci dało ono o sobie znać jako obsesja puryfikacji, jako dążenie do usunięcia zmyły; znalazło to swój wyraz w koncepcji lustracji. Ale pojawiało się też w mniej drastycznych wcieleniach, narzucając język podziałów, które pozwalały budować nadzieje na lepszą przyszłość dzięki dyskredytowaniu przeszłości. Jest to w istocie, jak wiemy, strategia rewolucyjna. Przenikała ona wszakże na rozległe obszary myślenia związanego z ideą historycznej zmiany. W niemałym stopniu wpłynęła też na koncepcję reform, rysując dość wyraźną linię podziału. Z jednej strony anachronizmy, z drugiej zaś nadzieje związane z wykorzenieniem złych nawyków, ukształtowanych w czasach *ancien regime*'u. Ta niechęć do przeszłości stała się jednak ostatecznie niepokojącym świadectwem „samoorientalizacji”, oznaczającej pełne zawstydzenia przeciwstawienie własnej szpetoty i ułomności podziwianym wzorcom doskonałości<sup>7</sup>. Piętnowanie przeszłości splotło się z nieustająca gloryfikacją „nauki światowej”. *Nolens volens*, do programu reform wprowadzono w ten sposób nuty zaściankowości i prowincjonalizmu, znajdującego swój wyraz w entuzjastycznej tonacji naśladowczej. Polityka reform uruchomiła mechanizm samooskarżeń i projekcję zaniżonego poczucia własnej wartości. Sprzyjając ukształtowaniu swoistej obsesji modernizacyjnej, znajdującego swój wyraz w przeświadczeniu, iż wszystko powinno ulec zmianie, gdyż wszystko, co było ma niewielką wartość. Trudno czasami oprzeć się wrażeniu, iż takie stanowisko przypomina punkt widzenia syndyka masy upadłościowej.

---

<sup>7</sup> Nawiązuję tu oczywiście do znanej koncepcji E. Saida przedstawionej przez niego w pracy *Orientalizm* (polskie wydanie, Poznań 2005).



**Po trzecie** – zamysły, które nadały kierunek reformom miały swoje zaplecze ideologiczne. Powiełały one schematy doktryny neoliberalnej, zespalającej z pojęciem rynkowej samoregulacji wizję przemiany oznaczającej uzdrowienie społeczeństwa. Zapowiadającej swoisty skok do królestwa wolności i obfitości. Koncepcja samoregulacji, zawarta w metaforycznym obrazie „niewidzialnej ręki rynku”, odegrała decydującą rolę w kształtowaniu programu polskiej transformacji<sup>8</sup>. Stała się źródłem wielkich nadziei związanych z dążeniem do przewyższenia przeszłości. Została potraktowana jako nadrzędna formuła racjonalności, pozwalająca określić niezachwiane kryteria wartości i niezawodne mierniki sukcesu. Koncepcja efektywności opartej na wolnej konkurencji, idea rywalizacji pozwalającej w naturalny sposób, bez zewnętrznego przymusu, ugruntować przewagę tego, co lepsze, stała się osnową swoistego wyznania wiary, dającego absolutne poczucie pewności.

Reformę nauki i szkolnictwa wyższego, której ostrzem stały się rozwiązania „pro-jakościowe i pro-efektywnościowe” (nowy żargon!), można widzieć jako kolejny etap wielkiego dzieła transformacji. Propagatorzy reform zdecydowanie zresztą to podkreślali, akcentując wagę politycznego mandatu, rozumianego jako upoważnienie do zerwania z przeszłością i uzdrowienia porażonego bezwładem świata nauki. Politycy, autorzy programów, mieli więc wystąpić w roli przywracających wigor cudotwórców. Ustawienie uczonych w jednym szeregu z górnikami i hutnikami w symbolicznym skrócie ukazuje skalę determinacji związanej z dążeniem do zrealizowania radykalnych zamysłów i swoistą dogmatyczną pewność, iż najlepszym lekarstwem na wszelkie niedomagania jest zawsze przymus ekonomiczny, związany z nieubłaganyymi regułami rynkowej selekcji.

Cały problem polega wszakże na tym, iż neoliberalna doktryna miała charakter utopijny<sup>9</sup>. Koncepcja samoregulacji i wiara w „niewidzialną rękę rynku” wywodziły się ze świata złudzeń. Czar przysł dość szybko. Pisał o tym jeden z najbardziej przenikliwych egzegetów omamienia, rozczarowany entuzjasta „thatcherysty”, John Gray<sup>10</sup>. Iluzję pokonała ostatecznie sama rzeczywistość – kryzys, którego początkiem stały się wstrząsy na Wall Street. Idea „samoregulacji” odeszła w niesławie. Zastąpiły ją biliony dolarów, które amerykański rząd musiał przeznaczyć na ratowanie prywatnych instytucji finansowych.

<sup>8</sup> Najlepsza praca na ten temat: J. Szacki, *Liberalizm po komunizmie*, Warszawa – Kraków 1994.

<sup>9</sup> Pisze na ten temat A. Walicki, *Od projektu komunistycznego do neoliberalnej utopii*, Kraków 2013.

<sup>10</sup> J. Gray, *False Dawn. The Delusion of Global Capitalism*, Granta Books 1998.

Przyjmując *credo* reformy wkroczyliśmy więc do krainy utopii. Krytyka, którą tu podejmuję nie oznacza oczywiście sprzeciwu wobec wszelkich zmian. Zmiany były i są potrzebne. Nie powinny one jednak mieć charakteru doktrynerskiego. Wielkim błędem reform było przyjęcie sprawdzianów racjonalności narzuconych przez schematy neoliberalizmu. Zrodziło to pochopny entuzjazm, związany z wizją łatwego sukcesu, z obrazem chwalebnej przemiany dokonującej się dzięki triumfom efektywności, dzięki rywalizacji prowadzącej na wyżyny naukowej „ekselenji”.

Kwestia jest oczywiście bardzo skomplikowana. Troskę o efektywność – zawsze i wszędzie – traktować wypada jako powinność elementarną. Nie należy jej wszakże wtlaczać w ramy doktrynerskich uproszczeń. Naukowcom trzeba oczywiście stawiać wymagania. Nie mogą to być wszakże te same wymagania, które dotyczą przemysłu i handlu. Dogmatyczne formuły racjonalności instrumentalnej, sprowadzające zagadnienie efektywności do kwestii rywalizacji (walka o fundusze) i samoregulacji, rozumianej jako selekcja, sprzyjały fikcji. Świat nauki jest jednak o wiele bardziej skomplikowany. Problemu tworzenia i dystrybucji wiedzy nie da się wyjaśnić w terminach rynkowej ekonomii, odwołując się do pojęcia produktu i pożytków utożsamianych z wielkością sprzedaży.

Moje obserwacje nie aspirują oczywiście do rangi werdyktu. Stanowią po prostu pewną interpretację związanych z reformą doświadczeń. Staram się zarysować ostrą krawędź. Nie przedstawiam rozległego opisu i wyczerpującej analizy. Tworzę raczej – jeśli miałbym ująć to najkrócej – pewien typ idealny, pewien model kondensujący realia przy pomocy sugestywnego obrazu. Moja interpretacja jest jedynie pewną formułą rozumienia, nie pretenduje do rangi definitywnego wyjaśnienia. Idąc tą drogą chciałbym jeszcze zwrócić uwagę na dwie kwestie.

Koncepcja efektywności opartej na mechanizmach rywalizacji ma niestety pewien dość wątpliwy aspekt. Słabsi mają przegrywać. Czy silniejsi są lepsi? Czy mamy stać się darwinistami wierzącymi w dobroczynne prawa selekcji? Czy sparametryzowany mierniki sukcesu pozwalają nam zachować pewność, iż stworzymy świat, w którym konstytuuje się jakiś naturalny porządek wartości sprzyjający naukowej „ekselenji”? Czy ostatecznie o przyszłości świata nauki decydować powinny sprawności, które związane są z rozwojem przemysłu i handlu? Umiejętności pozwalające stworzyć najlepszy „produkt” i najlepiej go sprzedać? Można wątpić. Jeśli spojrzymy na historię kultury i nauki i dostrzeżemy rozmaite wzorce. Skąd niezachwiana pewność, iż model rywalizacji i „bratobójczej” walki o granty jest modelem najdoskonalszym, najbardziej sprzyjającym rozwojowi wiedzy? Szukający samotności w swojej wieży Montaigne musiałby

stać się w naszych oczach przykładem bezproduktywnego outsidera. Miałby jednak bardzo wysoki index Hirscha. Co zatem? A gaduła Sokrates, który wcale nie publikował? Czy to, co mówię ma charakter demagogiczny? Nie, tu nie chodzi o efekt i o przewagę w sporze. Chodzi po prostu o rzetelne przemyślenie fundamentalnych wątpliwości.

I jeszcze jedna kwestia. Ideały rynkowej efektywności oznaczają odrzucenie myślenia w kategoriach dobra wspólnego. Wszędzie musimy widzieć rywali. Taka postawa jest niestety sprzeczna z *ethosem* uniwersytetu, będącego ostatecznie wspólnotą wiedzy i wspólnotą obyczaju. Wyklucza ona też oczywiście pomnażanie społecznego kapitału, powstającego dzięki interakcjom opartym na wzajemnym zaufaniu i gotowości do współpracy. O kapitale społecznym mówimy ostatnio do znudzenia, uderzając się w piersi, rozdzierając szaty (pewnie słusznie) z powodu naszego ubóstwa. I nagle, reforma. Reforma, która powinna w nas ukształtować nawyki gladiatorów, zdobywających publiczny aplauz dzięki zwycięskiej rywalizacji, usuwających innych w cień, sięgających w blasku światła po nagrody, brylujących na stronach oficjalnych biuletynów w roli zwycięzców kolejnych konkursów. Trochę się to wszystko nie zgadza.

Jest jeszcze jedna ogromnie ważna rzecz – wszelkie praktyki związane z tworzeniem i przekazywaniem wiedzy realizują się w przestrzeni rozumu komunikacyjnego. Wspólnota komunikowania tworzy osnowę świata uczonych i jest podporą uniwersytetu. Nie można stosować wobec niej miar, które narzuca wzorzec komercjalizacji, eksponujący pojęcie produktu. Dobry wykład, dobre seminarium nie są żadnymi „produktami”, są obszarem interakcji, przestrzenią kreatywnego współoddziaływania. Nie stworzą jej żadne, nawet najbardziej rygorystycznie zaprojektowane *s y l a b u s y*, które stały się dziś naszym prawdziwym utrapieniem i jednocześnie groteskowym symbolem biurokratycznych obsesji (na marginesie zaznaczmy – to bardzo ciekawe, iż idea samoregulacji, na mocy złowieszczej dialektyki, zrodziła plagę biurokratyzacji)<sup>11</sup>. Sprowadzenie studentów do roli konsumentów, którym powinny zostać dostarczone gotowe „produkty”, jest zaiste koncepcją żalną.

Kwestia o *s t a t n i a* – kilka uwag dotyczących środków nacisku, zakodowanych w mechanizmie reform oraz w przekazie mającym utworzyć im drogę, w towarzyszących im narracjach. Każde radykalne działanie wymaga pokonywania oporu materii. W przypadku reform, o których tu mówimy, ten opór był – i wciąż chyba jest – dość znaczny. Schematy

<sup>11</sup> Na temat niepokojących postępów biurokratyzacji pisze: K. Stępień, *Nauka a biurokracja*, «Pauza Akademicka» 2014, nr 265.

zmiany zderzyły się z przekonaniem wyrastającym z akademickiej tradycji wolności i wolności badań naukowych oraz z autentycznymi mechanizmami samoregulacji decydującymi o dystrybucji prestiżu i powagi w świecie uczonych (niewymagającymi sparametryzowanych wskaźników).

Posługując się pewnym skrótem, nawiązując do weberowskiej typologii form panowania, powiedzieć można, iż panowanie łączące elementy charyzmy z elementami tradycji, nielekceważące też nieodzownych procedur, postanowiono zastąpić skrajnie rygorystyczną i jednostronną formułą panowania legalnego, powiązaną z odrzuceniem charyzmy i tradycji, opartą wyłącznie na sformalizowanych regułach kompetencji i procedurach. Naukę postanowiono przenieść do świata procedur, bardzo drobiazgowych i bardzo skomplikowanych. Nie ustają narzekania dotyczące skomplikowanych wymogów formalnych związanych z aplikacjami o granty. Tworzą one formuły pseudo-racjonalności, oznaczającej całkowite wyeliminowanie myślenia wymykającego się władzy procedur i schematów. Ostatecznie – co już coraz lepiej widzimy – reformy oznaczają postępującą biurokratyzację światu nauki. W konsekwencji stopniowe zastępowanie działań opartych na doświadczeniu oraz osobistej kompetencji mechanizmami nadzoru.

Na naszych oczach dokonuje się więc przemiana, którą opisywał Michel Foucault, zajmując się w pracy *Karać i nadzorować* narodzinami „społeczeństwa dyscyplinarnego” – porządku opartego na rosnącym zasięgu zdyscyplinowania. Władza dyscyplinująca to władza niewidzialna, wyzbywająca się ostentacji. Jest ona wpisana w funkcje, w reguły działania. Dyscypliny mają normalizować – przeciwstawienie tego, co normalne, a więc pożądane, temu, co nienormalne (niepożądane) stanowi ich ostrze. Tworzenie mechanizmu zdyscyplinowania oznaczać musi zastosowanie na szeroką skalę przemocy symbolicznej, umożliwiającej zdyskredytowanie i wykluczenie niepożądanych wzorców zachowań. To, co „nienormalne” ma zostać usunięte w cień, napiętnowane, zanegowane.

W programie reform przemoc symboliczna odgrywała decydującą rolę. Wizji „nowego wspaniałego świata” przeciwstawiono obraz marazmu i bezradności, zawstydzającego bezwładu, pogrążającego polską naukę w odmętach pośledniości i peryferyjności. Jednym z głównych celów reform była redystrybucja kapitału symbolicznego, próba odwrócenia znaków wartości, znajdująca swój wyraz w gloryfikowaniu innowacji i piętnowaniu przeszłości. Oceniając te zabiegi można w istocie mówić o pewnej formie rewolucyjnego patosu, znajdującego swój wyraz w retoryce odnowienia, retoryce regeneracji, w pochwaleniu młodości i dyskredytowaniu przeszłości. Jednym z elementów reformy stała się logomachia

– wielki spektakl słowa kreujący obrazu fundamentalnego konfliktu wartości. Ekspansja nowego języka – triumfalny ton biuletynów i deklaracji – tworzyła aurę wielkiego przesilenia. Oznaczała też próbę zawłaszczenia publicznego dyskursu dotyczącego nauki, poprzez zdyskredytowanie anachronicznej mądrości *ancien regime'u*, poprzez narzucenie reguł napiętnowania i wykluczenia. Strategia zawstydzania, oznaczająca przeciwstawienie „zorientalizowanego” obrazu polskiej nauki dobrodziejstwom wielkiego awansu cywilizacyjnego, stworzyła podstawy nowego kanonu poprawności. Stała się też ostatecznie – i wciąż jeszcze jest – niezawodną formułą legitymizacji, chroniącą program reform przed głosami krytyki.

## STRESZCZENIE

Artykuł zawiera krytyczną analizę koncepcji reform systemu nauki i szkolnictwa wyższego wdrażanych w Polsce po 2010 r. Reformy te były przedstawiane jako część wielkiego planu mającego służyć wyrwaniu się polskiej nauki ze sfery peryferyjności. Nadające im kierunek koncepcje – jak przekonuje autor artykułu – wyrastały w istocie z doktrynerskiej, neoliberalnej formuły racjonalności nadającej rywalizacji i konkurencji charakter najbardziej pożądanego modelu działania, ujawniającego dobroczynną potęgę wolnorynkowych mechanizmów rozwoju i samoregulacji. Artykuł zwraca uwagę na to, iż koncepcja efektywności ukazująca badania naukowe jako proces wytwórstwa podważa w istocie kanony akademickiej tradycji odwołującej się do symboliki prawdy i wywołuje poważny konflikt wartości związany ze zderzeniem wzorca nauki rozumianej jako bezinteresowne dążenie do prawdy i neoliberalnych ideałów wzrostu i efektywności.

*Stanisław Filipowicz*

## WORLD OF SCIENCE AND REFORMERS. A FEW REMARKS ON REFORMS PUT IN PLACE IN POLAND

The article offers a critical insight into conceptions and ideas guiding the process of reforming a Polish world of science, which was initiated in 2010. It concentrates not as much on a process understood as an institutional change, as on hopes and expectations underpinning the reforms, framing its inner logic. The article points to the decisive role of the influence which a dogmatist approach – rooted in a neoliberal doctrine imposing a narrow understanding of a social harmony as

resulting from a successful operation of free market machinery – had on a whole undertaking, giving the reform its sense and meaning. It also brings to focus a conflict between an academic tradition exposing the symbolism of truth and the neoliberal system of values promoting notions of productivity and efficiency.

**KEY WORDS:** *reform, bureaucracy, authority, rationality, conflict*

## **Bibliografia**

- Adorno T., *Minima moralia. Refleksje z poharatanego życia*, Kraków 2009.  
Gray J., *False Dawn. The Delusion of Global Capitalism*, Granta Books 1998.  
Horkheimer M., *Krytyka instrumentalnego rozumu*, Warszawa 2007.  
Hunter J., *Culture Wars. The Struggle to Define America*, Basic Books 1991.  
Said E., *Orientalizm*, Poznań 2005.  
Stępień K., *Nauka a biurokracja*, «Pauza Akademicka» 2014, nr 265.  
Szacki J., *Liberalizm po komunizmie*, Warszawa – Kraków 1994.  
Walicki A., *Od projektu komunistycznego do neoliberalnej utopii*, Kraków 2013.  
Zakowicz I., *Idea uniwersytetu Wilhelma von Humboldta – kontynuacja czy zmiana?*, «Ogrody Nauk i Sztuk» 2012, nr 2.